Rok XII. Lipiec i Sierpień 1887. Nr. 7 i 8.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli pow. i uczniów tylko 70 cent. przesyłką 82 ct.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ulica Teatyńska liczba 23, dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Redakcya: Dr. T. Ciesielski i Feliks Lewandowski.

Razzia.

We Lwowie psów trzymać nie wolno! oto hasło dnia dzisiejszego.

Jak Lwów, Lwowem, tak wściekłego prześladowania i mordomanie psów nikt nie zapamiętał. Może wybuchła między niemi epidemia wścieklizny? Nie! i stokroć razy — nie! — Wybuchła, ale nie między psami. Wierność znikła z pomiędzy ludzi,— a zachowała się tylko w sercach psów; oto powód ich prześladowania.

Przystąpmy do rzeczy.

Dnia 10. Lipca, widząc gromadzące się chmury, z których piorun uderzyć miał między psów, czekałem w przedpokoju na posłuchanie u prezydenta miasta. Przyszedł i weterynarz miejski p. Kubicki. Nie zmówiliśmy się, lecz jakieś *fatum* — szczęśliwe czy nieszczęśliwe — sprowadziło nas tam o jednej i tej samej minucie. Stajemy przed prezydentem razem. P. Kubicki pierwszy zabiera głos: „Prezydencie! z powodu utrzymujących się wieści o pojawianiu się psów podejrzanych, z powodu kilku skonstatowanych przezemnie wypadków wścieklizny proszę o zaprowadzenie kagańców. Gdy nie zaprowadzi Magistrat, nakaże c. k. Namiestnictwo, skąd właśnie przychodzę“. A pan co powie panie

sekretarzu? zapytuje prezydent. „Jak jak zawsze jestem przeciwnym kagańcom, nie wierzę fałszywym pogłoskom, za któremi śledzę, — jak też nie wiele daję wiary skonstatowanym faktom, jednakże z powodu uporczywie rozsiewanych wieści o wściekliźnie, proszę w celu uspokojenia zatrwożonej ludności, o wydanie odezwy do mieszkańców a względnie właścicieli psów, aby z powyższych powodów, psy swoje mieli ciągle na oku, nie pozwalali im wałęsać się po ulicach, na stan ich zdrowia bacznie uważali, nie wprowadzali do lokalów publicznych i w każdym wypadku wątpliwym zasłabnięcia używali porady weterynarskiej, a to pod zagrożeniem zaprowadzenia kagańców, i innych środków ostrzejszych". „Pański wniosek ma racyę; — lecz proszę mi powiedzieć panie weterynarzu, czy pies wściekły znosi kaganiec?," zapytuje prezydent. „*Nie! bezwarunkowo nie! pies wściekły kruszy sobie zęby i drze wszystko na sobie*". „Więc jakiż jest skutek kagańców"?! — Jutro zwołam w tej sprawie posiedzenie Magistratu.

Nazajutrz dnia 11. uchwalił Magistrat: 1) rewizyę po domach za psami nieopłaconemi w całem mieście i zabieranie przez oprawców psów nieopłaconych (środek czysto finansowy); 2) zakładanie kagańców lub prowadzenie psów na linewkach, 3) dwukrotne dziennie łowienie psów bez kaganców i bez marek po ulicach się wałęsających.

Punkt 1-szy powyższej uchwały, (jako najskuteczniej zapobiegający wściekliźnie) został jeszcze tegoż samego dnia popołudniu przez komisarza II dzielnicy wykonany, w ten sposób, że wysłano rakarza z trzema pomocnikami i budką w asystencyi dwóch policyantów i tyleż woźnych komisyaryatu na ulicę Janowską. Scen jakie się tam odbywały przy zabieraniu psów z domów opisywać nie będę Każdy wyobrazi sobie, jaki przestrach opanuje mieszkańców szczególniej kobiety, gdy taka rewizya spadnie na dom spokojny.

Spotkałem powracających z tej wyprawy z sześcioma zabranemi psami. Udałem się natychmiast do p. komisarza, który mi powiedział, że to czyni wskutek dzisiejszego polecenia Magistratu i że ma policyę zamówioną już na dwa dni; potem to samo odbywać się będzie kolejno po dwa dni w innych komisaryatach, aż znowu przyjdzie kolej na niego. Natychmiast udałem się do p. prezydenta, i prosiłem o zasystowanie tego punktu rozporządzenia, i że nazajutrz wniosę motywowane przedstawienie Towarzystwa na pismie. Nazajutrz wniosłem je, wykazując, że żadna

ustawa ani rozporządzenie nie uzasadnia, zabierania psów zdrowych z domów przez oprawców i niszczenia ich li tylko z tytułu nieuiszczonej od nich opłaty. Ustawa bowiem z dnia 29. Lutego 1880. N. 35. D. u. p. pozwala tylko zabierać psy, u których już wybuchła wścieklizna, jak też i te, które stykały się z zwierzętami wściekłemi.

Druga ustawa z dnia 29. Listopada 1887. N. 57. Dz. u. i r. kr. o opłacie gminnej od psów zawiera tylko rygor, że *„psy po ulicy bez marki biegające, będą przez oprawcę wyłapywane i i wrazie niewykupienia niszczone“*.

Na to przedstawienie zarządził prezydent posiedzenie tegoż dnia w południe, na które zaprosił odnośnych pp. referentów, wszystkich komisarzy dzielnic, weterynarza tudzież sekretarza Towarzystwa. Po rozpatrzeniu sprawy, za zgodą radcy p. Wilkowskiego i sekretarza p. Uruskiego jako referenta sanitarnego, prezydent zasystował 1-szy punkt powyższego rozporządzenia, i polecił obecnym pp. komisarzom, aby śledzenie za psami nieopłaconemi odbywało się nadal tylko w drodze właściwej.

Dodać tu winienem, że tegoż dnia do popołudniowej sessyi odbyto dalszy ciąg rewizyi z zabieraniem psów w ulicy Gródeckiej, i zabrano psów 20.

Nazajutrz posypały się od wszystkich komisaryatów wezwania do właścicieli psów nieopłaconych. Tak rewizye dni poprzednich jak też i powyższe wezwania miały ten skutek, że bardzo wielu z ostatniego uiściło opłaty, ratując swoich ulubieńców, inni prosili o przyjęcie opłaty w ratach, ubożsi zaś, którym psy zabrano a którzy nie mogli od razu zapłacić 5 zł. i nie umieli sobie poradzić, potracili psy swoje. Czy słusznie? Kto ma prawo zniszczyć przedmiot opłacie podlegający, bez względu na jego wartość?! Można z powodu zaległych należytości fantować a nawet sprzedać publicznie mienie dłużnika, lecz pobrać tylko tyle, ile się należy, nadwyżka zawsze pozostaje własnością dłużnika. Jak można?! za dług jednego guldena, zniszczyć komuś psa, za którego właściciel dostać może 10, 20, a nawet 100 guldenów i więcej? Oto jeden przykład: W tydzień po zasystowaniu rewizyj, zagrożono pewnej kobiecie ubogiej, że gdy nie zapłaci, jutro psa zabierze oprawca i zabije. Kobieta ta przyszła z pieskiem do sekretarza Tow. i zanosząc się od płaczu prosiła o pomoc. Piesek ten widocznie zrozumiał swoją sytuacyę, że życie jego wisi na włosku — a raczej na papierku. Gdy tedy pani jego łkając

nic przemówić nie mogła, on w okamgnieniu w cudzym domu, wobec cudzych ludzi pokazał dziesięć sztuczek. Orał, rznął drzewo, rąbał, służył, stał na warcie, tańczył i t. p. wszystko to wykonał z małą laseczką, którą mu niema jego pani podała. Wszyscy domownicy rozpłakali się nad biedną psiną i złożyli natychmiast opłatę za niego. Piesek do końca roku uratowany. Czyż za tego pieska nie dałby niejeden amator 100 złr.; gdyby go publicznie chciano sprzedać? Jakżeż można pozbawić ubogą kobietę jej może jedynego mienia!

Podobnie rozrzewiające sceny odbywały się u mnie przez dwa tygodnie po ogłoszeniu w dziennikach, że ubożsi mogą otrzymać uwolnienie od opłaty, gdy oto prosić będą. Przychodzili do mnie z psami, aby im napisać prośbę, której sami napisać nie umieli. Prośby te, około 20, zostały wszystkie uwzględnione.

Tu znowu zaznaczyć musimy że gdy prawie wszyscy pp. komisarze zastosowali się do tego ostatniego rozporządzenia ściśle i psów więcej z domów nie zabierali, jeden jeszcze do dziś dnia zabiera psy nieopłacone, z tego tytułu, że według jego zdania właściciel jest w stanie opłatę uiścić. Dla czegoż nie wyegzekwować u niego należytości legalnie bez zabierawania mu psa nieprawnie? Nadto tenże sam ludziom prawdziwie ubogim utrudnia w poświadczeniu ich ubóstwa na podaniu i wymyśla na Towarzystwo i na sekretarza co mu się tylko podoba.

Wreszcie dnia 16. Lipca okazało się na murach miasta.

O b w i e s z c z e n i e

którem wezwano właścicieli psów do prowadzenia tychże na linewkach lub w kagańcach i zakazano wprowadzać psy do lokalów publicznych pod zagrożeniem grzywny od 1 do 100 zł. lub aresztu od 6 godzin do dni 14.

Odtąd rozpoczęły się, nie łowy na psy wałęsające się bez marek i kagańców lecz prawdziwe orgie oprawców — po całem mieście, po całych dniach i nocach, zarzucono wszystkie krępujące przepisy i rozpoczęło się w całem znaczeniu słowa;

panowanie hyclów.

Hycle, — między któremi rej wodzi jeden już kilkakrotnie za rabunek i kradzież karany, któremu pobyt we Lwowie policyjnie jest wzbroniony, którego Magistrat do służby przyjmować zakazał, który przed dwoma laty za uduszenie psa ukarany był

6 tygodniowem więzieniem a za dręczenie psów karany był policyjnie bez liku, najpierw:

1) uchylili się od asystencyi policyjnej;

2) urządzili sobie etapy na krańcach w okolo miasta a to: za rogatką grodecką w szynku Knapa, za rogatką żółkiewską, w gminie Zniesienie, głównej siedzibie propinacyj i miejscu zapijania się wódką całego proletarjatu lwowskiego, w szynkach u końca ulicy Zielonej, w ulicy Młynarskiej, na Pohulance, gdzie pobierali staly haracz w wódce i piwie;

3) dla szerzenia większego postrachu przejeżdzają od jednego etapu do drugiego przez środek miasta galopem, siedząc na budzie;

4) insultują ludność w sposób najbrutalniejszy: spychając i strącając ludzi z trotoarów, wydzierając kobietom psy z rąk, wyciągając psy z sieni, podwórz, a nawet ściągając z okien, bijąc dzieci stryczkami po głowie; między temi jednego ucznia gimnazyalnego a za rogatką żółkiewską traktyerniczkę znieważyli czynnie uderzeniem w twarz za to, że trzymając pieska przed swoim domem na rękach, wydać go hyclom nie chciała;

5) łowią tylko psy opatrzone markami nie patrząc nawet na psy zbłąkane, wałęsające się i wynędzniałe, nie spodziewając się z nich wykupu; łowy swe zatem ograniczają przeważnie na psy zdrowe, oplacone, za które po wiele razy pobrali jużtaksę wykupna;

Sam oprawca Siegel, zaledwie od kilka lat we Lwowie, spanoszył się już do tego stopnia, że się swemu zawodowi bardzo mało oddaje, trudniąc się przeważnie handlem koni. Dla niego zwykły sezon wścieklizny we Lwowie, za jego czasów prawie nigdy nieustający, jest prawdziwem żniwem, przynosząc mu najmniej z samych opłat 1000 guldenów czystego zysku, spuszcza się on na hyclów, którzy gonią tylko za psami, za których okup zaraz na miejscu pobierają.

Jaki jest corocznie początek wścieklizny!

Jak w latach poprzednich, tak też i tego roku pojawia się pierwszy pies wściekły w ulicy Grodeckiej, Janowskiej, lub Szpitalnej t. j w najbliższem sąsiedztwie mieszkania oprawców, koło rakarni miejskiej, a od pojawienia się pierwszego, drugie już idą jak na zamówienie. Zaczynają się łowy ogólne, tj. żniwo dla oprawców. Tego roku także pierwszy pies pojawił się w ulicy Grodeckiej, a ostatni do czasu zaprowadzenia ogólnego stanu oblę-

żenia w ulicy Janowskiej, pies Jana Gryglaszewskiego. Pies ten legawiec, bardzo łagodnego usposobienia był do ostatniej chwili zupełnie zdrowym. Nagle stał się wściekłym. Pierwszym, który o nim doniósł komisyaryatowi, był miły sąsiad, któremu pies ten rozpędzał kury i kaczki, za co groził mu śmiercią. Zachodzi tu bardzo silne podejrzenie otrucia. Psisko biedne, chore, gonione nieustannie, porąbane po głowie pałaszem przez policyanta, było, rozumie się, przez drugie psy napadane i odgryzało się, a przebywszy w takim stanie przestrzeń około pół milową, przybiegło aż na dworzec kolejowy — i przed pogonią schroniło się do sali poczekalnej, gdzie go ubito. Sekcya nie skonstatowała wścieklizny. Wszystkie psy, które zetknęły się na ulicy z tym psem, zostały przez samych właścicieli do oprawcy oddane i zabite, a mianowicie: 2 psy jenerała Trapszy, 1 pies majora Wajdowskiego (legawiec kupiony za 500 złr.), 1 pies ma- jora Hlavatschek, 1 pies, legawiec p. Lanca, 1 pies ratler p. Sembratowicza, 1 pies legawiec pułkownika Dylewskiego i inne. Sprawa o chorobie tego psa będzie dochodzoną w sądzie.

Po tym wypadku zaszłym d. 9 Lipca nie było już żadnych głośniejszych, gdyż alarmy na Pasiekach, na Bajkach okazały się zupełnie bezpodstawnemi. Dopiero w kilka dni później ukąszenie radcy Namiestnictwa p Hilda przez pieska małego domowego, w czasie oglądania kamienicy zapisanej na fundacyę przez p. Breiera, dało hasło do zaprowadzenia kagańców. Że pies domowy szarpnie człowieka nieznajomego w domu, nic w tem nadzwyczajnego i wypadków takich bywa w każdym mieście dużym co roku tysiącami. W innych czasach, odpowiada zwykle tylko właściciel przed sądem, lecz teraz stał się ten wypadek bardzo głośnym, kolportowanym po całem mieście pomimo, że piesek ten do dziś dnia żyje i jest zupełnie zdrowym.

Gdy już z zaprowadzeniem kagańców, jakby na jakie „**hocus**“ „**pokus**“ zwykłe wieści o psach wściekłych zupełnie ucichły, gdy „**panowanie hyclów**“ oburzyło już nawet najcierpliwszych mieszkańców, którzy tylko pytali: „**poco i naco**“ ta cała przykra i oburzająca parada, naco to paradowanie niewczesną troskliwością o bezpieczeństwo zdrowia i życia ludzi, którym ze strony psów nic niezagraża, gdy *ani jeden człowiek od psa podejrzanego nie został ukąszony*, potrzeba było znowu puścić w ruch maszynę wścieklizny, aby przedłużyć stan oblężenia dla psów, żniwo dla hyclów i stworzyć pole popisu dla weterynarzy, i oto nagle zjawia się

Pies p. Bergerowej.

Ktoś? nie wyśledzony przez nas dotychczas umieszcza w *Kurjerze Lwowskim* z dnia 18. Sierpnia b. r. takie doniesienie: „**Pies legawy** *podejrzany o wściekliznę pojawił się wczoraj w południe na ulicy żółkiewskiej. Jest on własnością p. Bergerowej właścicielki realności l. 97. Ukąsił parobka rakarskiego, a wsadzony do budy kąsał inne psy. Weterynarz podejrzywa psa o wodowstręt. Z ludzi oprócz parobka nikt nie został pokąsany*“.

Ile słów tyle kłamstw; — ani słówka prawdy.

Pies ten znany każdemu dziecku całego przedmieścia od lat 10 nie pojawił się niewiedzieć zkąd, gdyż stanął on tylko na progu pomieszkania swej pani, w chwili, gdy hycle, po wypiciu za rogatką żółkiewską kilka flaszek wódki, za darmo im tam jako haracz trzy razy na tydzień dostarczanej, po orgiach za rogatką, wracali galopem, jadąc na budce do miasta. Zleźli, zastąpili psu odwrót do drzwi a jeden z tyłu, herszt, o którym wyżej wspomniano, tak silnie ścisnął go kluczką, że mu oczy z jam wyszły i z gęby pociekła krew od razu. Już uduszonego wleczono po ziemi do budki, podniesiono na pętlicy w powietrze i wrzucono do budy. Czterej naoczni świadkowie zeznają to przed sądem, że pies nie mógł już i nie ukąsił ani hycla — ani kąsał psy inne, gdyż był nieżywy.

Stało się to po godzinie 10. rano, a już o godzinie 1 w południe sługa i dziewczynka p. Bergerowej zastały w rakarni psa nieżywego, zastygłego.

W przeddzień popołudniu poszedł pies ten z siostrą swej pani do zakładu kąpielowego Kiselki, tam czekając przez 2 godziny na panią, bawił się na dodwórzu z psami cudzemi i zakładowemi, wrócił najspokojniej do domu, bawił się w sąsiedniej piekarni parowej l. 85. jak zwykle z psami i dziećmi, potem zjadł kolacyę i spał przy łożu swej pani przez całą noc najspokojniej. Rano znowu bawił się na podwórzu piekarni; około godziny 8. zjadł śniadanie przy swojej pani w pokoju i położył się pod stołem na dywaniku, gdzie zwykle z chłopcem 2 letnim p. Bergerowej bawiąc się. razem zasypiali. O godzinie 10. wyszedł tylko przed drzwi domu, gdzie doznał tego nieszczęścia.

Przy dochodzeniu komisaryatu, dali mu wszyscy jak najlepsze świadectwo zdrowia i zachowania się aż do ostatniej chwili życia.

Świadkowie naoczni potwierdzą to przed sądem i pod przysięgą.

Był to jeden z wielu smutnych faktów pijanej tłuszczy hyclowskiej.

Jakież tedy mógł mieć weterynarz daty do podejrzywanie tego psa o wściekliznę?

Do dnia 22. Sierpnia nie było w Magistracie żadnego o tem doniesienia, ani od weterynarza ani od komisaryatu. Widocznie nie znaleziono nic podejrzanego.

Jakżeż nas to zdziwiło, gdy się później dowiedzieliśmy, jakoby weterynarz w Magistracie miał powiedzieć, *„że gdy psa oglądał, jeszcze drgał i patyk mu podany gryzł“*.

Nie uprzedzając dochodzeń sądowych, chcemy tu tylko wspomnieć

o owym patyku weterynarskim.

Widzimy już od kilku lat w rakarni miejskiej, obok klatek dla psów zdrowych i podejrzanych zatknięty patyk, zwykły wierzbowy lub inny, u końca nieco pogryziony, którym nie tylko weterynarz, ale nawet oprawcy w wolnych chwilach, ot tak dla fantazyi, szturkają psu zamkniętemu w klatce pomiędzy oczy. Gdy pies znękany, zmordowany, przestraszony i więzieniem i otoczeniem, chwyci za patyk zębami: **„Probatum est„. Jest wściekły.**

Któż widział psa zdrowego, wolnego, bardzo spokojnego i łagodnego, któryby nie pochwycił zębami za patyk, mierzący mu między oczy?

Dodać musimy, że patyk ten sam, służy przez dłuższy czas do szturkania dla różnych psów, i wściekłych i nie wściekłych. Czy to jest możliwem? zapytacie. To jest fakt!

W tutejszej szkole weterynaryi używają w takim samym celu środka nieco drastyczniejszego.

Oto podają psu w klatce zamkniętemu, rozpalony drut żelazny. Chwyci pies — i popieczy się: *„Probatum est“. Wściekły!*

Jestto tylko najzwyczajniejszem drażnieniem, co mówimy? dręczeniem i wyższym stopniem dręczenia, jest to znęcaniem się nad psem bezbronnym.

„Wodowstręt“ nazwa z wieków średnich choroby, dziś *„wściekliznq“* zwanej, jako też ów akademicki drut rozpalony żelazny, mają dziś u ludzi nieuprzedzonych tę samą wartość, jaką miały w wiekach średnich, barbarzyńskich: *próby wody i ognia* (*Wasser probe, Feuer probe*) praktykowane tylko na czarownicach.

Gdy kobieta (niewolnica) w wiekach średnich, która nie poszła pod wodę, nie popiekła się na ogniu, była uznana za czarownicę — tak dziś pies, który unika wody — i chwyta za drut rozpalony jest wściekłym.

Tylko to bieda, że jedno i drugie zawodziło zawsze.

I tak, jak w owych wiekach barbarzyństwa i ciemnoty, kobiety, na których te praktyki wykonywano, wszystkie szły pod wodę i popiekły się — a mimo to spalono ich na stosie, tak też dziś pies, który unika wody i chwyci za drut rozpalony jest wściekłym, i dostaje pałką w łeb.

Dziś, gdy postęp medycyny wykluczył puszczanie krwi, stawianie baniek i t. p. praktyki wolno-lekarskie, dziś gdy już nie spławiają czarownic i nie palą na stosie, zdałoby się, aby i panowie weterynarze zaniechali tych średniowiecznych praktyk.

Dla czegóż jeszcze dziś utrzymywać w takiem poszanowaniu nietknięte aberacye rozumu w średnich wiekach i trzymać się ich tak uparcie, kiedy dziś już istnieją nawet akademie, wynajdujące nowe rodzaje dręczenia zwierząt?

Oto jest historya wścieklizny lwowskiej! Ktoby mi chciał zarzucić, że jest w niej słówko nieprawdy, niech się odezwie, a służyć mu będę innemi faktami, których dla wstrętności nie cytuję.

Na podstawie przekonania naszego, uzyskanego 12-letnim śledzeniem za przyczyną wścieklizny lwowskiej, rok w rok o tym samym czasie się pojawiającej, twierdzić już dziś możemy stanowczo, że jak długo system opodatkowania psów i system nadzwyczaj wadliwy zarobkowania oprawców nie będzie z gruntu zmieniony, a nad całą weterynaryą miejską Magistrat nie rozciągnie ścisłej kontroli, wścieklizna mimo wszelkich zabiegów i starań ciągle po Lwowie grasować będzie. *F. L.*

Obrazki z życia zwierząt.

W paryskim gabinecie *historyi naturalnej* znajduje się wypchany piesek, będący niegdyś własnością, przyjacielem, doradcą i opiekunem sławnej podówczas kobiety panny *Ninon Lenclos*.

Gdy tę, głośnego imienia epikurejkę, dla swego wdzięku i dowcipu nadzwyczaj w towarzystwie miłą, gdzie zapraszano, brała ona zawsze ze sobą swego małego, ładnego pieska *Ratona*, umieszczała go z koszyczkiem przy sobie, aby przestrzegał jej diety, przez co zachowała swą piękność, dobry humor i zdrowie

prawie do stu lat. Jak świadczy historya życia tej kobiety, postępowała ona zawsze przy stole według wskazówek swego przyjaciela Ratona, nie używała kawy, napojów mocnych, ani wykwintnych potraw.

Raton przypatrywał się obojętnie, gdy jego pani spożywała zupę, mięso lub pieczeń, pozwalał również jeść wiele owoców i cukrów, ale skoro jego pani chciała się zabrać do jakiego frykasu, warczał natychmiast, patrzył na nią surowo i wzbraniał jej wszelkiej potrawy ostro przyprawianej. Przy niektórych potrawkach nie okazywał wcale surowości, lecz był nieobłagany w naganie i przestrogach, gdy silny zapach korzenny oznajmował niebezpieczeństwo.

Spór, jaki mały psina z panną Lenclos prowadził, był nadzwyczaj żywy i zabawny, w którym zawsze gorliwy przyjaciel i opiekun swej pani zwyciężał i zyskiwał dla siebie posłuszeństwo.

Doktorze, mówiła do niego panna Lenclos, pozwolisz mi wypić szklankę wody?

Na te słowa łagodnie się przymilał, ruszał ogonem a na znak zgody pozwalał się głaskać i lizał rączkę swej pani.

Gdy zaś poczuł zapach kawy, nagana jego była wyraźna, oczy zapalały się gniewem, rzucał się niespokojny, warczał, itp. okazywał nieukontentowanie. Zobaczywszy zaś kieliszek i poczuwszy zapach likieru, wyskakiwał z koszyka, począł się tulić do swej pani, trząsł się jak w febrze, lub gdyby w największem znajdował się niebezpieczeństwie.

Gdy zauważył, że jego pacyentka ma ochotę napić się zakazanego nektaru, rzucał się jak opętany, wpadał w gniew najgwałtowniejszy, a w końcu porywał w zęby jej kieliszek i dalejże z nim do koszyka.

Obecni zanosili się od serdecznego śmiechu na tę wielką irytacyą doktorską, umieszczoną w tak małem ciałku zwierzęcia i okazywali na swe uznanie, za tak gorliwe spełnianie obowiązku przyjaciela i opiekuna.

Wierność i przywiązanie Ratona były tak wielkie, iż przez cały czas, w którym jego pani znajdowała się przy stole, nietknął żadnego pożywienia, tylko ją troskliwie obserwował, dopiero po uczcie opuszczał swe stanowisko, biegał wesoło, wdzięczył się kobietom i panienkom uprzejmie, a otrzymane w tenczas dopiero kosteczki lub ciasteczka zajadał z apetytem.

Przykład ten dowodzi nie tylko wierności, przywiązania i tro-

skiiwości pieska o dobro swej pani, lecz zarazem może zawstydzić nie jedną rozumną istotę, która dogadzając swym zachciankom, szkodzi częstokroć zdrowiu i życie sobie skraca.

Franciszek Marzec.

Wdzięczna sarna. Leśniczy w Goslar znalazł w rewirze swoim w Grudniu p. r. sarnę jednoroczną na śniegu. Sarna ta biegając po zamarzniętej powłoce śniegu tak sobie pokaleczyła nogi, że nie mogła już wcale wyszukać pożywienia i byłaby z głodu zginęła. Leśniczy zabrał ją do domu i przez trzy miesiące pielęgnował w ciepłej stajence. Gdy w góry zawitała wiosna, polanki zaczęły okrywać się trawką i pączki drzew poczęły pękać, otworzył leśniczy wrota wolności swemu gościowi a sarna poszła zdrowa w góry i lasy. Wkrótce potem natrafił leśniczy w lesie na gromadkę około 25 sztuk jeleni i pomyślał sobie, czy też nie ma między niemi jego sarneczki. Zaledwie zawołał „*Liza, Liza, przyjdź do mnie*“ a już wychowanka jego w wesołych podskokach przybiegła do swego opiekuna i dała się głaskać i pieścić jak przedtem. Nie myślała już wracać do swoich towarzyszy, którzy z bliska tej scenie ciekawie się przypatrywali, lecz za swym opiekunem szła wesoło do domu. Dopiero pies na rozkaz pana napędził wdzięczne zwierzę napowrót do swych towarzyszy w lasy.

Wierny stróż. Wczasie zapadnięcia się do jeziora przedmieścia miasta Zug w Szwajcaryi, gdy domy jedne zniknęły pod powierzchnią wody a z innych sterczały tylko oderwane szczątki, pojedyncze ściany, zauważano w jednym z takich domów dziwne przywiązanie i wierność psa, który w domu na pół już rozwalonym i przez ludzi opuszczonym sam jeden pozostał. Leżąc na słomie pod drzwiami, strzegł mienia swych chlebodawców i nie ustąpił z placówki, aż wraz z domem znikł w nurtach jeziora.

Kotka karmicielką wiewiórki W Riemslohe (koło Osnabrugi) znaleźli chłopcy w krzakach młodą wiewiórkę jeszcze ślepą i przynieśli to opuszczone zwierzątko do domu. Matka chłopców włożyła wiewiórkę do kosza, w którym właśnie kotka karmiła swe kocięta i tam wychowała się wiewiórka wspólnie z kociętami.

Zwierzęta w czasie katastrofy w przyrodzie.

Że zwierzęta są najlepszymi zwiastunami zmian powietrza jest to ogólnie wiadomem. Mamy także dowody, że zwierzęta przeczuwają ważniejsze katastrofy w przyrodzie szczególniej zaś trzęsienie ziemi. Naoczny świadek trzęsienia ziemi w Styryi w r. 1885 tak swe spostrzeżenia opisuje. „O godzinie 1. w nocy usłyszano w stolicy kraju podziemny szum, poczem nastąpiło pięć sekund trwające trzęsienie, tak silne, jakiego jeszcze niezapamiętano. Nawet w parterowych pomieszkaniach pobudzili się spiący. Mam jednego psa i kota. Muszę tu dodać, że zwierzęta te bardzo są dobrze chowane i do porządku przyzwyczajone. — Nigdy nie kładę się spać przed godziną 1-szą, zwierzęta zaś moje tak są z sobą zaprzyjaźnione, że jedno bez drugiego usnąć nie może i zawsze o godzinie 9, układają się razem w koszu do spania. O godzinie 12. domaga się kotka zawsze, aby ją na dwór wypuścić i wraca dopiero koło godziny 6. rano. Tej nocy nie poszły te zwierzęta spać jak zwykle i były bardzo niespokojne. Kotka chciała koniecznie wydostać się na wolność, lecz nie wypuściłem jej umyślnie, domyślając się z zachowania się ich czegoś nadzwyczajnego. Kotka, zwykle bardzo łagodna stała się prawie dziką, przynajmniej 30 razy skoczyła do drzwi i na mnie i miauczała przeraźliwie. Pies biegał od kąta do kąta pokoju i skomlił żałośnie. Zwierzęta te mają po dwa lata. O pół do dziesiątej starała się kotka koniecznie wydrzeć na wolność i poczęła drzwi drapać pazurami, aż drzazgi odlatywały i o tym czasie usłyszałem siedm głuchych tonów w krótkich przerwach. Zwierzęta opanował w tymże czasie jeszcze większy niepokój i przestrach. Poczęły się kryć. O pół do pierwszej, gdy koło Leonhard pierwsze nastąpiło trzęsienie, musiałem z obawy kotkę wypuścić, i ta nie powróciła aż w południe dnia następnego. Pies nie mógł pobiedz za nią, gdyż cały drzał i na nogach utrzymać się nie mógł. Uspokoił się dopiero, gdy trzęsienie zupełnie ustało".

W opisie trzęsienia ziemi w tym roku w *Rivierze* tak pisze gazeta Charlestońska o objawach u zwierząt: „Przed trzęsieniem ziemi uważano zaniepokojenie wśród zwierząt domowych, psy i koty były niespokojne, psy szczególnie wyły parę dni przed trzęsieniem po całych nocach, koty zaś pchały się do ludzi. Niepokój ten ustał teraz i tylko ptaki zdają się czuć, że prądy powietrza nie są jeszcze normalne i latają niespokojnie po mieście,

co również pojawia się wśród ludzi, których opanował nagły popęd do wędrówki, zagrażający miastu wyludnieniem“.

W telegramach o ostatniem zaćmieniu słońca dnia 19. Sierpnia br. znajdujemy częste wzmianki, że zwierzęta były bardzo zaniepokojone.

Losy ptactwa wędrownego na morzu.

Z listu Wojciecha Wopaleńskiego, który brał udział w podróży naukowej „*klubu umiejętności*“, pisanego z Tunisu do swego przyjaciela, wyjmujemy następujący opis losów ptactwa na morzu: Odpłynąwszy około 250 mil morskich od Korfu, znajdowaliśmy się na samym środku morza jońskiego. Siedziałem sobie wygodnie na pokładzie wdychając z przyjemnością świeże, chłodne powietrze morskie; — morze wokoło spokojne, gładkie jak powierzchnia stawu, którego brzegi tworzyło czyste, lazurowe niebo. Śród tej poważnej ciszy słyszę nagle u nóg ćwierkanie małego ptaszka, spacerującego sobie za mojem krzesłem. Przyglądam się mu ze zdziwieniem zkąd na pełnem morzu, o setki mil oddalenia od lądu, mógł się wziąć ptaszek śpiewający; — i o dziwo! poznaję naszą rodowitą pliszkę. Jeszcze nie zdołałem wymówić „*zkąd się tu wziąłeś luby przyjacielu?*“ a już mi odpowiada dobrze mi znany głosik rudzika, siedzącego przedemną na busoli, swemi mądremi, czarnemi oczkami we mnie się wpatrującego. Na chwilę oniemiałem, — gdyż zdawało mi się, że siedzę w jednym z naszych parków rodzinnych. Niewymownie uradowałem się na widok swojskich ptasząt, których śpiew zdawał mi się być pozdrowieniem z dalekich stron ojczystych. Zwołałem wszystkich moich towarzyszy podróży, aby i oni nacieszyli się tym nadzyczajnym, miłym widokiem.

Około 20 tych lubych śpiewaków, widocznie długą podróżą z powrotem do ojczyzny zmęczonych i głodnych, siedziało na pokładzie, widocznie uradowanych, że znależli miejsce spoczynku w swej ciężkiej podróży morskiej. A gdy jeszcze przybyło pięć par jaskółek, świergotaniu i pozdrawianiu nie było końca.

Wkrótce jednak do uczucia radości przyłączyły się litość i miłosierdzie, na widok wielkiego zmęczenia, w jakiem się te lube zwierzątka znajdowały. Wiele z nich, niezdolnych do jakiejkolwiek obrony, dały się chwytać rękami. Chcieliśmy podaniem żywności pomódz im do odzyskania sił. Nie było to rzeczą łatwą,

bo gdzież na parowcu Lloyda, utrzymywanym w takiej wzorowej czystości, znajdzież kilka owadów. Posypały się gradem dowcipy. Jeden radził przedłożyć im spis potraw; inny chciał im zamówić kotlet cielęcy, wreszcie zgodzono się na jaja ugotowane na twardo; także dla dzióbków owadożerców niezwykła potrawa.

Wtem szłyszymy przeraźliwy krzyk w powietrzu. Prawie u nóg naszych skakającą spokojnie pliszkę porwał w locie szpo·nami jastrząb i uleciał z nią na maszty, gdzie ją w spokoju chciał spożyć. Z oburzeniem zwróciliśmy oczy za śmiałym rabusiem i ujrzeliśmy w górze wcale dobrane towarzystwo. Podczas naszych usiłowań przyjść w pomoc biednym, zgłodniałym podróżnikom, po·krzepić ich siły do dalszej podróży na północ, tam na masztach i linach siedziało pół tuzina łaknących rabusiów, spoglądających pożądliwem okiem na pokład na swe ofiary, gdy znowu tyleż ich spólników okrążało okręt, chwytając w powietrzu zdążające do nas zmęczone ptactwo.

Prędko wyniesiono z kajut kilka dubeltówek. Zagrzmiało od strzałów, a dwanaście rabusiów spadło, częścią w morze, czę·ścią pod nogi nasze na pokład. Uwolnione śpiewaki nasze cieszyły się odtąd bezpiecznie naszą gościnnością przez 24 godzin i odbyły razem z nami podróż aż prawie pod Maltę. Tu wszystkie naraz odleciały z wyjątkiem jednego czyżyka, który widocznie zapadł na chorobę morską, nie przyjął żadnego pożywienia i ciągle jak pijany się zataczał Ostatni raz widziałem go w salonie siedzącego na fortepianie, na którym też śród tonów fantazyi wagnerowskiej ducha wyzionął.

Pasteur przed parlamentem angielskim.

W kwietniu 1886 zamianował parlament angielski komisyę, która miała zbadać skuteczność metody Pasteura, szczepienia ochronnego od wścieklizny. Do komisyi tej weszli najznakomitsi lekarzy: *Sir James Paget, Dr. Lauder Brunton, Dr. Fleming, Sir John Lifter, Dr. Quain, Sir Henry Roswe (członek parlamentu), profesor Burdon Sanderson i profesor Wiktor Horsley jakosekretarz.* Trzej członkowie tej komisyi, Dr. Burdon Sanderson, Dr. Lauder Brunton i Sir Henry Roswe jako sekretarz udali się do Paryża, aby metodę Pasteura zbadać osobiście, a po powrocie tychże przedsięzwiął prof. Horsley cały szereg experymentów celem wyświecenia wątpliwości co do niektórych punktów.

Przedłożone obecnie parlamentowi sprawozdanie tej komisyi stanowi jednogłośny, zupełny wyraz zaufania do systemu Pasteura. W dodatku zestawione są fakta zbadane, które toż zaufanie usprawiedliwiają.

Inaczej zapatrują się na tę sprawę Niemcy, unosząc się nad świeżo przez Dr. A. Frischa wydaną broszurą, który jako wierny zwolennik kagańca w czambuł potępia nie tylko cały system Pasteura lecz w końcu nad człowiekiem wielkiej nauki i niesłychanego w świecie poświęcenia, śmie w bucie swej i nienawiści germańskiej zawołać: *Jestże on oszustem, czy oszukanym*?! Za nim wali się na oślep cała czereda gawiedzi i nieuków, powołanych i niepowołanych zoilów, którzy jako karły radziby szarpaniem takiego tytana uczynić się głośnymi bezmózgową swą opozycyą.

Nas jako obrońców zwierząt żywo ta sprawa obchodzi i postępy jej śledziliśmy z niewymownem natężeniem, bo chociaż środki, do dopięcia zamierzonego celu używane, ranią nas do żywego, wyczekiwaliśmy i wyczekujemy rezultatu z prawdziwem upragnieniem. A chociaż sprawa, nad którą bez skutku zastanawiali się uczeni, lekarze i przyrodnicy wszystkich wieków, nie tak łatwo i prędko jeszcze zostanie zupełnie zbadaną i zakończoną, mamy nadzieję, że sława Pasteura wobec chwilowych niepowodzeń nie zblednieje i chociażby nie on sam, to następcy jego dobrej wiary, przeprowadzą ją do pożądanego celu dla dobra ludzkości i zwierząt.

Przeto miło nam podzielić się z czytelnikami naszymi każdą pomyślną i życzliwą wieścią o człowieku takiego poświęcenia jak Pasteur, każdy bowiem rys najdrobniejszy jego życia znamionuje człowieka niezwykłego. Oto co piszą o nim dzienniki francuskie:

Pasteur obrany został jednogłośnie na posiedzeniu francuskiej akademii nauk następcą Vulpian'a, który był dożywotnim sekretarzem tejże akademii. Z tej okazyi jedno z pism francuskich poświęca znakomitemu uczonemu dłuższy artykuł, z którego czerpiemy następujące szczegóły. Pasteur urodził się w Dole w Jura r. 1822, jest synem dzielnego żołnierza, który posiadał w Arbois garbarnię. Od lat dziecinnych okazywał Pasteur wielkie zdolności do malowania i jako trzynastoletni chłopiec wcale dobrze portretował kolegów i nauczycieli swoich z gimnazyum w Arbois. Gdy następnie, będąc w Sorbonnie poświęcił się chemii, żywił bez-

graniczne uwielbienie dla mistrza swego, Dumas'a; chustkę do nosa użytę przez Dumas'a do jakiegoś doświadczenia schował Pasteur jako relikwię. Po ukończeniu studyów został Pasteur preparatorem Laland'a a gdy pokazał Bion'owi swoje pierwsze odkrycie, tenże rzekł: „Mój kochany synu, ja tak bardzo ukochałem naukę, że mi twoje prace sprawiają bicie serca". Mianowany profesorem w Strasburgu, Pasteur z takim zapałem oddawał się dalszym badaniom swoim, że w dniu w którym miał zaślubić pannę Maryę Laurent, córkę rektora akademii, musiano go przemocą z laboratoryum wyprowadzić i o weselu przypomnieć. Los biednych zwierząt używanych do doświadczeń, nie jest Pasteur'owi bynajmniej obojętnym. Pewnego razu, gdy ptak dostał kurczów z bolu, znakomity uczony zwrócił się do swego audytoryum i rzekł ze wzruszeniem: „Nigdy na polowaniu nie miałem serca strzelać do ptaka, ale tam, gdzie chodzi o wiedzę, nie powstrzymają mnię żadne skrupuły. Nauka ma prawo powoływać się na przewagę dobrego celu" odzywał się także o psach, którym szczepił jad wścieklizny. „Te zwierzęta cierpią niewątpliwie", — mówił. — „Takiem jest prawo natury, trzeba poświęcić nie jednego dla dobra ogółu. Zadając tym biednym zwierzętom chorobę, dójdę do tego, że będę mógł ratować ludzi".

Kanikularne chwasty.

„Pies z kanikułą lipcową się wścieka,
i wtedy milczkiem (od) znajomych ucieka.
Sroższy, wścieklejszy jad jest u człowieka,
zimą, czy latem, — i kąsa i szczeka".

„Przegląd" — znane tylko z nazwy *„pismo lokajskie"* i mimo narzucania go prawie za darmo, czytane tylko w przedpokojach przez lokai i innych darmojadów, wyrzuciło jad swój i na nas i to widocznie pod wpływem kanikuły. Jako powód posłużyło mu rozporządzenie Magistratu (o którem na innem miejscu wspominamy), obowiązujące właścicieli psów do prowadzenia tychże na linewkach lub nakładania im kagańców i to tylko na czas nieograniczony, krótki, celem uśmierzenia popłochu, spowodowanego pojawieniem się kilku psów podejrzanych. Dla zaznajomienia czytelników naszych z tym zjadliwym wyskokiem, wylęgłym w mózgu jednego z najpodlejszych lokai, przytaczamy dosłownie cały ten utwór człowieka obłąkanego, który dla wzgardy ogólnej, okazywanej mu całkiem słusznie, pieni się na wszystko i na wszystkich jadem wściekłości, czyniąc sobie tem ulgę w swej nieuleczalnej chorobie. Oto w Nr. 165. z 22. lipca b. r. tak bredzi: